Należytość pocztową zapłacono ryczałtem.
Rok VII. Lwów, październik—listopad 1930. Nr. 10—11.



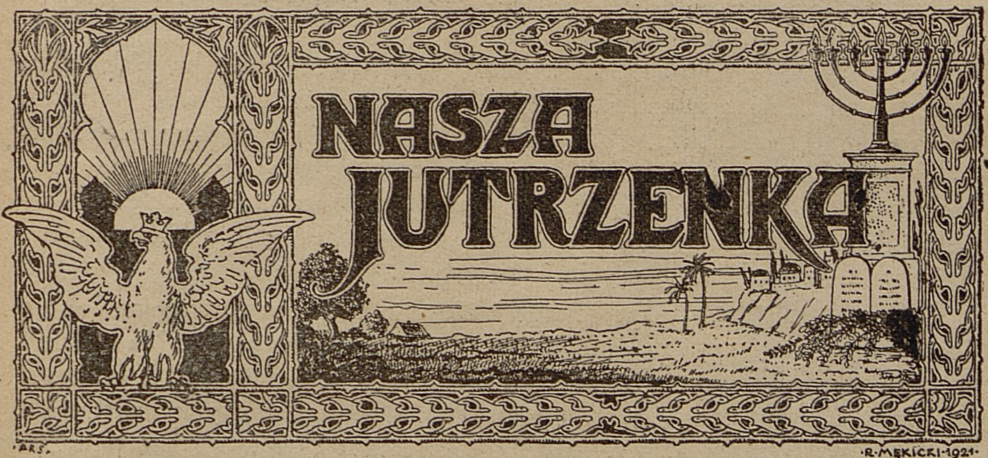
—:— —:— PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY —:— —:—

Praca.

Praca wytwarza posłuszeństwo, panowanie nad sobą, uwagę, zapobiegliwość i wytrwałość. Nic bez niej wykonać nie można — wszystko, co wielkie w ludzkości, powstaje przez pracę.

Praca każdego człowieka bez względu na pochodzenie zasługuje na najwyższy szacunek. Ludzie bardziej wykształceni lub należący do klas wyższych są jakby oficerami, a robotnicy jakby żołnierzami wielkiej armji w państwie. Ale tak samo w społeczeństwie jak i w wojsku, żołnierz nie jest mniej godnym, aniżeli oficer; bo godność w pracy leży, a nie w stopniu. Szanuj więc tę wielką armję pracowników, uczcij w nich trudy i ciężką dolę! Wzgardź różnicami klas i stanów, dla wszystkich bądź jednakowo grzeczny! Pamiętaj, że odrodzone państwo nasze wypłynęło zarówno z żył robotników pracujących w polach i przy warsztatach jak i z krwi i umysłu uczonych i tych którzy zajmują wyższe stopnie w społeczeństwie!

Rok VII. Lwów, październik—listopad 1930. Nr. 10—11.



—:— —:— PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY —:— —:—

O figlach Frycka Szopena.

— Mamusiu, kto to ułożył tego mazurka?

— Szopen, synku!

— A tamto smutne preludjum?

— Także Szopen. To ten właśnie Fryderyk Szopen, którego portret wisi nad fortepianem.

Nad fortepianem wisi w czarnych ramach portret smutnego pana z długiemi włosami, chudą twarzą i dziwnych oczach. Zawsze sobie myślałem, że Szopen nigdy nie był inny, tylko zawsze smutny, chudy, miał długie włosy i śliczne białe ręce, któremi wygrywał na fortepianie najcudniejsze mazurki, polonezy i nokturny.

Otóż właśnie nie!

Bo nim Szopen stał się dużym smutnym panem, był przedtem małym, nawet bardzo wesołym łobuzem i niejednego figla spłatał. I to jaki figlarz! Trzebaby się spytać pana Mikołaja Szopena i pani Justyny, którzy byli rodzicami małego Frycka, a mieszkali w Żelaznej Woli pod Warszawą.

— Frycek siadaj z Ludką do fortepianu i grajcie na cztery ręce — mówi mamusia. A Fryckowi ani w głowie. Nie chce z Ludką grać na fortepianie, woli sam i to wtedy, gdy nikogo w domu niema, albo co gorsza w nocy, gdy się wszyscy spać kładą!

— Frycek, nie dokuczaj Izi, nie przedrzeźniaj się Emilce. Frycek bo nie pójdziesz na ślizgawkę.

A ślizgawka to obok fortepianu, największa uciecha chłopaka. Ale ma on też i wielkie zmartwienie. To zmartwienie wisi za szafą w kancelarji pana Mikołaja. Długie, sznureczkiem związane, niedobre. Wszyscy chłopcy, (a jest ich sporo, bo pan Mikołaj Szopen ma pensjonat dla chłopców) boją się tej nieznośnej istoty. A wiecie kto to taki? Zmartwienie za szafą zwie się „madame rózga“, z którą nieraz krnąbrne chłopaki zawarły już znajomość.

Najgorsza sprawa, kiedy przyjdzie pan profesor Żywny na lekcję fortepianu. Boki zrywać. jak ten stary profesor wygląda. Ma ogromny nos. niczem fioletowy ogórek i żółtą perukę na głowie. Z kieszeni wygląda mu zawsze kraciasta chustka do nosa. a biały krawat stale poplamiony tabaką. Frycek umie doskonale naśladować, jak pan Żywny siedzi przy fortepianie i wybija takt czerwonym ołówkiem.

— Mamusiu, kiedy on taki śmieszny.

— Ej figlarzu, nic nie mów o panu profesorze, bo będzie madame rózga w robocie!

Pan Żywny przychodzi też wieczorami i grają wista z papą. Frycek z Izią, Ludką i Emilką, zaśmiewają się po kątach.

— Holla! Dzieci nie swawolić tak ciągle. Czemu się śmiejecie?

— Bo proszę mamusi, Frycek powiedział, że pan Żywny ma spodnie przerobione ze starej kamizelki.

— Ej, figlarzu, madame rózga będzie w robocie.

I raz naprawdę była. A wiecie zaco? Do tatusia przyszedł w odwiedziny wielce szanowny profesor Kazimierz Brodziński i wiedli ze sobą rozmowę. A wisus Frycek, który zawsze lubiał naśladować głos i ruchy starszych, nuże przedrzeźniać się profesorowi Brodzińskiemu.

I wtedy jedyny raz była madame rózga w robocie.

Ale mały jasnowłosy figlarz uczył się pilnie. Wolał fortepian jak ślizgawkę, a ćwiczenia palcowe milsze mu były nad wszystkie zabawy z rodzeństwem i rówieśnikami.

Rósł na wielkiego artystę. Gdy miał lat 8 grał już ładniej, niż nawet mamusia, a wcale nie był zarozumiały. Jeździł z rodzicami na wieczory, rauty i przyjęcia, gdzie słuchano jego gry. Nawet wielki książę Konstanty, brat cesarza rosyjskiego, który wiele złego Polakom zrobił, lubił przysłuchiwać się utworom małego Frycka. Ilekroć był w złym humorze, posyłał po niego powóz z Belwederu i mówił: „Frycek zagraj mi co na fortepianie“!

Wreszcie przyszła chwila bardzo uroczysta w życiu małego arty-

sty: Pierwszy koncert publiczny. Było to w Warszawie w r. 1818. Mały Frycek, twórca polonezów miał wtedy 8 lat.

Ubrała go mamusia w nowiutkie ubranko, dała biały kołnierzyk na szyję, pocałowała, poczem wielki muzyk pojechał koncertować. Na sali zebrało się liczne grono znakomitych pań i panów i wszyscy słuchali gry małego wisusa.

A tylko mamusia Szopena nie mogła być na koncercie, bo miała dużo zajęcia w domu. Tedy po powrocie do domu wzięła wielkiego muzyka na kolana i wypytywała go, co też się najwięcej słuchaczom podobało. Frycek odpowiedział:

— Wie mama? Wszyscy patrzyli na mój biały kołnierzyk!

SZEM—TOW.

Drapieżny Wilk błogosławieństwem.

I.

Przed laty w naszem mieście żył bardzo bogaty człowiek. Posiadał kilka wspaniałych kamienic, a prócz tego miał dużo złota, srebra i drogocennych klejnotów. Majątek swój oddziedziczył po swoich rodzicach, sam powiększył go kilkakrotnie i należał do najzamożniejszych panów w całem państwie. Nie miał rodziny, żył samotnie w swoim prześlicznym pałacyku i tylko stary sługa prowadził mu gospodarstwo i zarządzał majątkiem; on zaś mało obcował z ludźmi, siedział zamknięty w swoich komnatach i jak mówili ludzie, liczył ciągle pieniądze, a tyle ich miał, że nigdy nie mógł ich przeliczyć.

Jak mu było na imię, tego już nikt nie wiedział, bo znany był z przezwiska „Drapieżny Wilk", i z czasem nawet zapomniano jak się nazywa. Przezwano go „Drapieżnym Wilkiem", dlatego, że był człowiekiem złym, okrutnym i bezdusznym.

Pomimo bezgranicznego swojego majątku był sknerą i serce miał twarde jak głaz.

Nie litował się nad biednym, nie obchodziły go ani sieroty, ani

wdowy nieszczęśliwe, nie czuł ludzkiej niedoli, nie znał miłosierdzia i miłości bliźniego.

Ludzie uważali że jest przyczyną wszelkiego zła, które nawiedzało mieszkańców miasta. Gdy grasowała jakaś epidemja, gdy umierały małe dzieci lub gdy wybuchł pożar i niszczył domy najbiedniejszych, mówiono, że „Drapieżny Wilk“ jest przyczyną, że niewinne stworzenia pokutują za niego, bo mędrcy uczą: „Wszyscy Izraelici są odpowiedzialni jeden za drugiego“.

II.

Na szczęście dla mieszkańców naszego miasta żył wtedy cnotliwy i miłosierny mąż imieniem Benjamin. Mieszkał skromnie w domku w jednej z bocznych ulic ze swoją liczną rodziną. Zajmował się kupiectwem, i ciężko a rzetelnie pracował ze swoimi na życie. Ale dom jego był zawsze otwarty dla szukających pomocy. Głodnych nakarmił, nagich przyodział, podupadłych kupców i rzemieślników wspierał, by mogli stanąć o własnych siłach, był ojcem sierót i opiekunem wdów. Nigdy nie czekał aż ktoś do niego przyjdzie z prośbą o pomoc, owszem sam spieszył nie będąc wołany. Gdzie była ukryta nędza, ocierał łzy ludzkie, nietylko w rodzinnem mieście, ale wszędzie w całym kraju. Zajmował się również gorąco sprawami publicznemi. Był pierwszym, gdy szło o założenie domu dla sierót i starców, lub o wzniesienie świątyni, budowy szkoły lub ochronki, — wszędzie jego udział był najhojniejszy.

Jak nigdy nie ubywało oliwy z dzbanuszka u proroka Eljasza, tak i jemu zawsze starczyło na wszystkie wydatki. Był przezto powszechnie lubiany i szanowany, stawiano go za wzór, jak to Bóg błogosławi tym, którzy są dobroczynnymi. Ci mają podostatkiem dla siebie i dla innych. Również i jego nie wołano po imieniu Benjamin, lecz dano mu przydomek zaszczytny „Beracha — błogosławieństwo“, bo Bóg jemu we wszystkiem błogosławił, a on stał się szczęściem i błogosławieństwem swoich bliźnich.

III.

Minęły lata, — Benjamin — „Błogosławieństwo“ zestarzał się i posiwiał. Serce jego stało się jeszcze szlachetniejsze, imię jego było sławne, dobroć jego była zawsze jak niewyczerpujące się źródło.

Posiwiał i zestarzał się również ów „Drapieżny Wilk“. Bali się go ludzie i unikali, był jakby wyklęty z pośród społeczeństwa. Słusznie powiada król Salomon „Bogactwo nie pomaga w dniu gniewu Bożego“.

I dla „Drapieżnego Wilka" nadszedł taki dzień obrachunku. Ciężka choroba rzuciła go na łoże boleści; odpokutował pewnie za grzechy swego nieludzkiego serca. Przywołano lekarzy do chorego, lecz nie było już dla niego ratunku nijakiego. W mieście nikt o nim nie myślał i nikt chorego nie odwiedził, nikt nie uspokajał, ani pocieszał umierającego. Opuszczony i osamotniony tak jak żył, tak w ostatniej chwili życia, na ramionach starego sługi wyzionął ducha.

VI.

Stało się to właśnie z początkiem wiosny przed Pesach. Zabłysły pierwsze promienie słoneczne, śniegi i lody znikły z powierzchni ziemi, wszystko się radowało, że zbliża się święto wyzwolenia, zazielenią się pola i ogrody i będzie lżej człowiekowi. — Zima bowiem w tym roku była ciężką i ciągnęła się długo. W handlu i przemyśle był zupełny zastój, trudno było o zarobek. Teraz zaś przed świętami wydatki były ogromne. Dużo biedaków nie miało pieniędzy na zakupno macot, kartofli i smalcu na święto Pesach. Z dzieci, uczęszczających do szkół, wiele nie miało odzieży, a obuwie ich było całkiem podarte.

Zebrała się wtedy starszyzna gminy, by udać się do zamożniejszych współobywateli i zbierać dla biednych braci. Zaczęli jak zwykle od najhojniejszego i najszlachetniejszego męża, Benjamina, zwanego „Błogosławieństwem". Wiedzieli, że u niego najwięcej dostaną, bo kto jemu był równy? — Benjamin przyjął dostojnych panów bardzo uprzejmie, zaprosił ich do swego pokoju i zapytał się: „Czem zasłużyłem sobie, żeście przyszli pod mój dach"? Starszyzna mu przedstawiła trudne położenie ubogich, wielkie wydatki na Pesach i prosiła go, by jak dotychczas obdarzył ich swą łaską. Lecz Benjamin ze łzami w oczach nato odrzekł:

— Zacni moi panowie byliście zawsze w błędzie; ja nic nie dawałem, nigdy nikogo nie wspierałem, bo skądże mogłem nato mieć, gdy sam jestem biedakiem i zarabiam ledwie na suchy kawałek chleba dla swojej rodziny!

To wszystko było dziełem „Drapieżnego Wilka", którego nienawidziliście.

On to dawał swój wielki majątek ubogim braciom, ja byłem tylko jego posłańcem. Nie chcąc, by wiedziano, że on jest dobroczyńcą i nie chcąc przyjąć podziękowania, poruczał mnie to wielkie zadanie. Teraz zaś, gdy już nie żyje ten wielkoduszny dobroczyńca, gdy już nie bije to serce szlachetne, niczem nie mogę przyczynić się do wsparcia biednych. Majątek zaś tego dobroczyńcy jest prawie wyczerpa-

ny, a co do reszty, oto jest jego testament. Przed śmiercią mi go wręczył i polecił mi, bym go oddał starszyźnie gminy.

Starszyzna otworzyła testament i dowiedziała się, że przeznaczył resztę majątku swego na zakład dla sierót i biednych starców.

Lotem błyskawicy rozeszła się wieść po całem mieście. Wszyscy poznali, jak ciężko zawinili wobec tego szlachetnego męża, jak niesłusznie krzywdzili prawdziwego bohatera. W synagodze starszyzna urządziła żałobne nabożeństwo, cała gmina zebrała się, by uczcić pamięć niezwykłego dobrodzieja.

Niebawem wykonano jego ostatnią wolę. Pałac w którym mieszkał przerobiono na dom sierót i na przytułek dla biednych starców, a na froncie zakładu widnieje do dnia dzisiejszego napis: „Drapieżny Wilk — błogosławieństwem“.

HENRYK SALZ.

Nad Sanem.

Pod kasztanów słodkie szumy
idę sobie przez wybrzeże.
San wśród cichej mknie zadumy.
Wiatr przywiewa tchnienie świeże.

Wywiał z głowy myśli szare,
czar ożywczy w serca prószy,
spłoszył nudów mglistą marę,
iskry nieci we krwi, w duszy.

Mój włóczęgo ty swawolny!
Pójdź w objęcia, pieść i tul!
Daj mi usta, wietrze polny,
niech z nich piję wyskok pól!

Pomnik Marji Konopnickiej.

W październiku odbywają się zwykle we Lwowie uroczystości ku czci wielce zasłużonej poetki Marji Konopnickiej, bo tu spędziła ostatnie lata swego życia i tutaj także umarła dnia 7-go października 1910 roku.

Dziatwa i młodzież szkolna czci pamięć Marji Konopnickiej niezwykle serdecznie i korzysta z każdej sposobności, ażeby choć w części spłacić dług wdzięczności za piękne utwory pisane dla niej przez wielką poetkę. W tym roku dziatwa kupowała kartki do wieńców dla swojej umiłowanej poetki, a dochód z kartek ma powiększyć fundusz na budowę pomnika Konopnickiej we Lwowie.

O wzniesieniu pomnika myślą i mówią już ludzie od roku 1921. Czasy ciężkie powojenne nie pozwalają zebrać prędko większej kwoty na taki wydatek. A jednak mimo trudności pragną wszyscy obywatele utrwalić pamięć poetki. Szczególnie dziatwa i młodzież czytająca pragnie się przyczynić do dzieła uczczenia pamięci wielkiej poetki.

Podrastające obecnie pokolenie, choć wielu nie wiedziało w jakich latach i gdzie żyła Marja Konopnicka, zna dobrze jej pieśni, zwłaszcza „Rotę", zna jej poezje, zwłaszcza ów piękny wiersz: „Przed sądem", albo ów tak rzewny o „Sierocie", albo owe wierszyki dla małych dzieci pisane, z których największą sympatją cieszy się „Praczka".

...Nie mam rączek jedenastu — żali się maleńka, ale wypierze, co tylko wyprać zdoła, oczywiście dla lalki....

Znane są także nowele, utwory pisane prozą p. t.: „Nasza szkapa", „Głupi Franek" i „Mendel Gdański", a mali czytelnicy pamiętają dobrze przepiękną książkę „O krasnoludkach i sierotce Marysi".

Marja z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się w Siemiątkach w byłej Kongresówce, w 1846 roku. Owdowiawszy, przybyła do Warszawy ze swojemi dziećmi i odtąd zarabiała piórem na swoje i dzieci utrzymanie pisząc wiersze, artykuły i nowele dla rozmaitych gazet. Redagowała także czasopismo dla kobiet „Świt", przyczem ciężko musiała walczyć o byt. Gdy dzieci jej podrosły i miały już zapewnioną egzystencję, Konopnicka zaczęła podróżować po świecie. Zwiedziła Niemcy, Francję i Włochy, pisząc coraz to piękniejsze poezje. Sława i uznanie były też nagrodą jej trudów i wytrwałości, bo ona talent od Boga dany ciągle kształciła, nie zmarnowała darów bożych i pisała tak, aby wzruszyć serca ludzi, uczynić ich lepszymi i szlachetniejszymi.

Marja Konopnicka ukochała zaś najbardziej ludzi pokrzywdzonych i dzieci.

W obronie pokrzywdzonych napisała najpiękniejsze wiersze, aby przemówić ludziom do sumienia.

Dzieciom zaś ofiarowała mnóstwo wierszyków i powiastek i nie było dla niej większej radości nad tę, gdy otrzymywała listy od małych swych czytelników i czytelniczek.

To też kiedy podczas wielkiego jubileuszu, jaki cały naród polski urządził Konopnickiej w Krakowie w 1902 roku, przybyły z różnych stron, między innemi deputacjami, także deputacje dzieci wiejskich i miejskich. Konopnicka najwięcej się ucieszyła tą pamięcią dzieci i przy wszystkich gościach ucałowała serdecznie te maleństwa, które w hołdzie za piękne wierszyki dla nich pisane, złożyły jej kwiaty.

Miała i ma Polska dużo poetek, ale żadna z nich nie umiała i nie umie tak po prostu i serdecznie przemówić do ludzi każdego stanu i wieku, tak przejąć się ich cierpieniami i radościami, tak współczuć każdej niedoli ludzkiej, jak to potrafiła Marja Konopnicka.

Ofiarowane dzieciom wierszyki i powiastki są wszystkie radosne, bo je pisała ku radości dzieci, aby miały przyjemność i rozweseliły serca nie tylko swoje, ale i rodziców i tych wszystkich ludzi, z którymi się zetkną. Pisała dla nich radośnie, bo chciała aby dzieci stały się radością i pociechą starszych. Już w ostatnich latach swego życia gdy nękała ją choroba, myślała, coby napisać dla dzieci, aby je ucieszyć. I chciała napisać sztukę teatralną dla dzieci. Niestety śmierć przedwcześnie zabrała ją. Uległa chorobie serca. Ale ostatnia, jej myśl biegła ku nowemu pokoleniu Polski z wiarą i nadzieją, że pokolenie to będzie lepsze i szlachetniejsze.

Dyr. S. SPITZER.

Kamień rzucony przez przyjaciela.

(Z przypowieści podług Talmudu).

Pewnego razu skazał król na sądzie człowieka na śmierć przez ukamieniowanie. Kaci rzucali na niego ogromnemi kamieniami, a skazaniec w milczeniu znosił katusze, gdyż wiedział, że spełnia się nieodwołalny wyrok i że wszelkie zawodzenia byłyby daremne.

Ale w chwili wykonywania strasznego wyroku przechodził koło skazańca jeden z dawnych jego przyjaciół, który podniósł niewielki kamień i rzucił na nieszczęśliwca, aby w ten sposób okazać, że nie należy do jego zwolenników. Gdy ten mały kamyk dosięgnął skazańca, zapłakał głośno i gorzko.

Król, który był obecny przy spełnianiu wyroku, zdziwiony tem zjawiskiem, polecił jednemu z dworzan, aby zapytał skazańca, dlaczego on tak tak głośno zawodził przy uderzeniu małego kamyka, kiedy milczał zupełnie przy uderzaniu wielkich kamieni.

Umęczony odpowiedział:

— Mój panie, wielkie kamienie rzucali na mnie ludzie, którzy mnie nigdy nie znali a spełniali tylko nakaz władzy, dlatego milczałem. Ale mały kamień rzucił na mnie ten, który był moim rówieśnikiem i którego mieniłem się przyjacielem i towarzyszem i dlatego zapłakałem. Przypomniałem sobie, jaki czuły był wobec mnie, kiedy mi sprzyjało szczęście, a widziałem jego niewierność, gdy mnie spotkało nieszczęście.

Król ulitował się nad skazańcem i rozkazał, aby zaniechano dalszego znęcania się nad nim i wypuszczono go na wolność. Do obecnych zaś przemówił:

Gdyby nie było zabronione zabijanie bez uzasadnionego powodu, tobym kazał ukamieniować tego nędznika, który opuszcza swojego przyjaciela, gdy ten jest w niedoli.

Najdotkliwiej człowieka boli,
Gdy przyjaciel opuści w niedoli.

Nero.

W kompanji wojska naszego wszyscy go znali. Był nieodłącznym towarzyszem porucznika Wysockiego. Nie był ani ładny, ani inteligentny, był zaniedbany, brudny — ot zwyczajnie jak pies na wojnie. Miał jedną zaletę — był przywiązany i wierny swemu panu — aż do szaleństwa.

Gdy porucznik Wysocki udał się z polecenia komendy na boczny odcinek rowów, prosił sierżanta Jantwę, ażeby przetrzymał psa w drugiej lepiance, a sam wymknął się ukradkiem przed psem. Nero jakby przeczuwał, że pan jego oddali się, wyrywał się niespokojnie

z rąk sierżanta i chciał naprzełaj biec ponad okopy w kierunku swego pana, choć dobrze wiedział, czem grozi mu pokazanie się ponad rowami wobec nieprzyjaciela. Pewnej nocy wybrał się znowu porucznik Wysocki na rozkaz pułkownika z dwoma ochotnikami ze swojej kompanji, ażeby przyprowadzić jeńca.

— Musisz mi przyprowadzić kogoś z przeciwka za wszelką cenę, poruczniku Wysocki, — rzekł pułkownik — u nich się coś gotuje, bo ogień nieprzyjacielski słabnie od dwóch dni. Polegam na twojej dzielności i roztropności.

— Rozkaz — pułkowniku, o drugiej w nocy ruszę.

Porucznik Wysocki rzucił się z swoim i ochotnikami jak kot cichaczem na dwóch przeciwników, których zastał przy pracy nad wierceniem podkopu. Obydwu szybko ubezwładnili i postanowili cichaczem przenieść do swoich rowów. W czasie walk otrzymał jednak porucznik silne uderzenie kolbą, tak że chwilowo stracił przytomność. Gdy towarzysze zobaczyli krwawiącego porucznika, chcieli go przenieść do swoich, jednak ranny oparł się temu.

— Uprowadźcie jeńców, niema chwili do stracenia, mnie zostawcie, muszę sobie sam radzić. Zostawszy sam, zaczął się rozglądać po nieprzyjacielskim okopie. Było to skrzydło zagięte rowów strzeleckich z wylotem na głęboki lej, przy brzegu którego leżały worki z ziemią, zwoje drutów, deski i belki.

Natychmiast wsunął się przez otwór do leja, zakrył otwór ziemią i deskami i postanowił przeleżeć tak aż do następnej nocy, ażeby się przekraść potem do swoich. Na wszelki wypadek przygotował sobie granaty ręczne i rewolwer w razie odkrycia, ażeby się nie dostał żywym w ręce nieprzyjaciela. Ledwie zdołał się jako tako osłonić ziemią i wgłębić, gdy usłyszał szelest i skrobanie w przyległym rowie. Za chwilę zaczęła się zsypywać ziemia i w otworze za workiem ukazała się naprzód głowa, a potem ciało psa. Był to Nero. Szalony z uciechy rzucił się ku swojemu panu.

Głaskaniem uspokoił porucznik trzesącego się z zadowolenia psa i przytrzymał mu ręką paszczę, ażeby nie szczekał. Potem wyrwał porucznik kartkę ze swojego notesu i napisał: „Jestem w prowizorycznem zabezpieczeniu obok miejsca napadu naszego. Poślijcie przez Nera szerokie opatrunki i coś do jedzenia i picia. Mam nadzieję umknąć dzisiejszej nocy“.

I pokazując psinie kartkę rzekł:

— Widzisz Nero tę kartkę, trzeba ją zanieść tam... do nas, tam do naszych.... tam do naszych...!

Porucznik złożył kartkę i przymocował ją do obrączki na szyi psa i kazał mu pójść.

Nero zasmucił się, opuścił ogon i wlokąc go po ziemi odwrócił się i jednak pobiegł.

Nie minęło pół godziny, gdy wierny pies wrócił owinięty misternie w torbę żołnierską. Porucznik odpiął torbę, wyjął bandaże i posiłek i głaszcząc psa mówił do niego jakby do przyjaciela:

— Czekaj Nero, będziemy mieli lepsze czasy. Pójdę do szpitala, bo jestem ranny. Tam wypoczniemy sobie w łóżkach. Każę ci postawić łóżko obok mojego.

Porucznik zauważył, że psina nie cieszy się, tylko cicho skomli. Spostrzegł także okrwawioną łapkę psa, a w jednem miejscu także przedziurawioną. Zrozumiał, że i biedny towarzysz, jego pies, jest ranny. Nagle zaczęły świstać kule wokoło miejsca, w którem leżał porucznik. Było więc wielkie niebezpieczeństwo. Został odkryty przez nieprzyjaciół i lada chwila mógł wpaść w ich ręce.

Napisał więc nową kartkę. Na miejscu wyrysowanem i oznaczonem krzyżykiem zaznaczył, gdzie się znajduje i dalej tak pisał:

— Ostrzeliwujcie blisko to miejsce tak, ażeby nieprzyjaciel nie mógł się dostać przez cały dzień do mnie.

I znowu pokazał kartkę pieskowi, którą dobrze przypiąwszy rzekł: — Idź tam!

Nero popatrzył w oczy swemu panu, skomląc cicho jakby chciał powiedzieć:

— Widzisz że cierpię, nie bądź okrutny, nie odpędzaj mię od siebie!

I pan jego zrozumiał skargę, więc położył się obok psa i rzekł:

— Będziemy umierać Nero, niema dla nas ratunku i głaskał czule psa, towarzysza.

Nero zrozumiał ważność chwili. Podniósł się i kulejąc puścił się smutno w drogę. Minęło pół godziny. Nieprzyjaciel zbliżał się, strzelając gęsto w to miejsce, gdzie leżał nasz oficer. Jeszcze minuta.... jeszcze.... gdy w tem dała się słyszeć kanonada naszych dział. Szrapnele poczęły ryć ziemię, pociski padały gęsto przez resztę dnia i nie pozwalały ruszyć się nieprzyjacielowi z miejsca.

Gdy nadszedł wieczór, pod osłoną ognia do nieprzyjaciela, przedostał się porucznik Wysocki do swoich.

Tam dowiedział się, że wierny i drogi mu Nero został zabity, trafiony kulą w głowę, będąc już blisko swoich. Żołnierz przyczołgał się do niego i zabrał go do rowów, a tam odkryto pismo

Na wojnie nie płacze się po stracie wiernego psa, gdy naokoło giną wierni towarzysze, ludzie. Ale gdy nic już innego zrobić nie można dla bohaterskiego zwierzęcia, niechże przynajmniej pamięć w słowach wydrukowanych pozostanie po niem.



Rozwój samolotów.

Każdy zna przyrząd nazywany „latawcem“.

Kilka odpowiednio złożonych patyczków, na nie napięty papier lub płócienko, do końców przymocowane sznureczki złączone w węzeł środkowy, a do tego przyczepiony kłębek rozwijającego się sznurka.

Puszczamy to przeciw wiatrowi i chwytając sznurek w rękę „puszczamy“, jak to mówią powszechnie, orła.

Latawiec unosi się w górę i pozostaje nad ziemią tak długo, jak długo wiatr działający na powierzchnię od spodu, podtrzymuje go w powietrzu.

Można latawiec taki urządzić skrzynkowo i wówczas zdoła on unieść nawet znaczne ciężary.

Inżynier Timmons w Anglji, popisywał się w r. 1876 latawcem o otwartych skrzyneczkowych przedziałkach, który unosił wysoko w górę chłopaka. Te ukośne powierzchnie niby skrzydła oparte na powietrzu pędzone przez wiatr, są oparciem dla bujania w błękicie.

Każdy to rozumie, że wiatr bije w spód i podnosi te skrzydła, ale jeśli nie ma wiatru, aparat taki spadnie.

Trzeba więc starać się o pęd taki wiatrowy i to obmyślili wynalazcy pierwsi aeroplanów.

Oto śruba nazywana przy samolotach „śmigą“ poruszana w szybkich obrotach, ciągnie sztuczne skrzydła i jest niejako duszą lotu człowieka, który ze zdumiewającą śmiałością, marzy o podbijaniu atmosfery.

Twórcą, który spowodował liczne naśladownictwa, twórcą lotu człowieka był inżynier Lilienthal, który wykonał kilka tysięcy lotów na skrzydłach własnego pomysłu. Zlatywał on ze szczytów góry kilkaset metrów wysokiej i unosił się w powietrzu, kierując aparat własnym korpusem i ramionami. W czasie ostatniego lotu zerwał się nagły wiatr z boku i wynalazca pchnięty prądem niespodziewanym poniósł śmierć, spadając gwałtownie na ziemię.

Próby jego były nauką dla braci Wright w Ameryce — ci zasłynęli jako pierwsi „ludzie-ptacy".

Gdy wieść o nich doszła do Europy, uważano to za przechwałki amerykańskie i nie dawano wiary... tak nie wierzyli ludzie, iż człowiek zdoła latać w powietrzu.

Gdy jednak inżynier francuski Bleriot dokonał na swym samolocie podróży napowietrznej z Francji do Anglji przez morze w r. 1909, zapał powszechny ogarnął cały świat.

Od tej daty pamiętnej, lipiec 1909, rozwija się bajecznie żegluga napowietrzna.

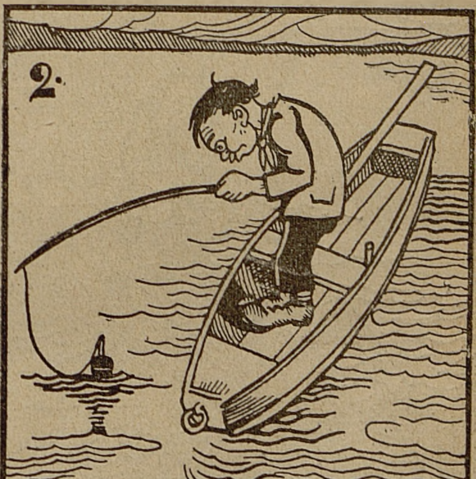
Coraz nowsze, doskonalsze samoloty budują wynalazcy i dziś jazdy napowietrzne stają się sprawą codzienną, jazdą na dalekie odległości od miast do miast, do dalekich krajów.

A teraz wyobraźcie sobie jaka to cudna jazda!

Bolcio pechowiec łowi ryby.



1. Zadowolony i szczęśliwy, wyjechał Bolcio łowić ryby.



2. Oho, coś się zaczepiło, wędka bierze, więc uwaga!

Na lotnisku, tej stacji napowietrznych ptaków maszynowych, przygotowuje się nowoczesny samolot do odjazdu.

Mechanicy wyciągają z „hangaru" olbrzymi pojazd. Na lekkim, stalowym korpusie widnieje motor z różnemi aparatami i przyrządami, a u przodu olbrzymia śmiga. Wyżej, w dwóch piętrach, rozłożyste skrzydła metalowe. Środek korpusu, tego pojazdu w błękity, jest zbudowany jak kajuta na okręcie, wygodne kanapki, okienka, a przy dalszych podróżach jest i gabinet restauracyjny.

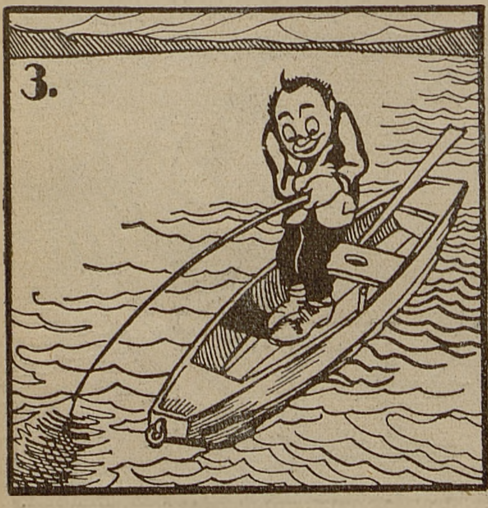
Zbliża się godzina naznaczona na odlot, kierownik pojazdu „pilot" samolotu w skórzany garnitur owinięty, w okularach jak szofer samochodu, obejmuje maszynę, wsiada i puszcza w ruch motor.

Śmiga tnie powietrze, już samolot sunie lekko po ziemi na swych kółeczkach — ruch sterem — i kółeczka odrywają się od ziemi, ptak wzlatuje ku górze coraz wyżej, coraz chyżej.

Ziemia pod nami zdaje się, że ucieka w dal, budynki, ulice, place stają się coraz mniejsze, jak domki z kart — oko obejmuje coraz rozleglejszy widnokrąg... miasto, pola, lasy widnieją jako barwne plamy, tu i ówdzie płyną z nami, pod nami i nad nami. figlarne chmurki; bajeczny ptak żelazny prześciga żywe ptactwo, umykające przed tym śmiałym, nieproszonym gościem napowietrznym.

Istna, żywa bajka!

A teraz wyobraźcie sobie, że taki pojazd napowietrzny, odbywający dzień w dzień podróż ponad lądem i morzem n. p. z Londynu do Paryża i z powrotem, mogący pomieścić z dwa tuziny podróżnych, zaopatrzony



3. Duża będzie ryba, bo wędka czem raz dalej zagłębia się w wodę.



4. Z całej więc siły ciągnie Bolcio zdobycz ciężką, aż się przechyla.

jest w telefon. Nie taki zwykły, jaki znacie, połączony drutami z centralą pocztową, ale... bez drutu, t. zw. radjotelefon.

Kto z pasażerów samolotu ma ochotę, może w ciągu jazdy napowietrznej rozmawiać sobie najspokojniej z interesentami w biurze londyńskiem lub paryskiem, dowiadywać się o pozostałych swoich w domu, może odbierać wiadomości potrzebne, dowiadywać się co dzieje się na lądzie, gdy samolot buja ponad falami morza i może wydawać zlecenia swym podwładnym w urzędzie.

I u nas w Polsce, zwolna rozwija się praca na tem polu awiatyki, a kto ciekaw, musi poświęcić czas i trud, na poznanie tych zdumiewających rzeczywistości, jakie stworzyła nam technika.

Mamy i w Rzeczypospolitej Polskiej wynalazców i wytrwałych ludzi pracy, którzy pragną dobra swego kraju i narodu, dążą, by i nam jak najrychlej przypadły w udziale te wspaniałe wyniki pomysłów ludzi genjalnych. Każdy rozumie, że postęp w takich dziedzinach techniki, jak jazda napowietrzna, jak rozmowa na odległość tysięcy kilometrów bez połączenia drutami, ma olbrzymie znaczenie.

Następuje zwolna zbliżenie narodów, poznanie bliższe i tem samem wzmacniają się uczucia szlachetne, zrozumienie potęgi pracy umysłowej, wzajemna życzliwość i w wymarzonej przyszłości... zbratanie ludzi na ziemi.



5. Z łódki dalej, bęc w wodę, a z nim razem i wiaderko na ryby.



6. Do domu wraca Bolcio, smutny, bo ma pecha.

Powstanie listopadowe na tle pieśni i poezji.

Ciężkie były czasy dla Polaków pod rządami cara rosyjskiego. A już najtrudniej było wytrzymać, gdy rządził Polską namiestnik carski, wielki książę Konstanty. Nazywano go tygrysem. Nikt nie był pewny życia i wolności.

— Mamy ginąć, to gińmy lepiej w bitwie, niż tak gnić po więzieniach — powiedzieli sobie Polacy.

I zrobili powstanie. Chcieli porwać tego strasznego namiestnika. Ale zamach na niego nie udał się w r. 1830. Powstańcy jednak zdobyli arsenał i uwolnili więźniów z klasztoru Karmelitów, a na ulicach Warszawy zabrzmiała pieśń wolności:

Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskrzeszenia był.
W tęczę Franków orzeł biały
Patrząc, lot swój w niebo wzbił.
Słońcem lipca podniecany
Woła do nas z górnych stron:
Powstań Polsko, skrusz kajdany!
Dziś twój tryumf albo zgon!

Zebrana rada narodowa wybrała generała Józefa Chłopickiego dyktatorem i postanowiła prowadzić walkę. Wojsko polskie liczyło ogółem przeszło 35 tysięcy żołnierza i posiadało 106 dział. Walka rozpoczęta nader szczęśliwie, dawała przewagę siłom polskim wobec przerażonego żołnierza moskiewskiego nagłym wybuchem powstania. Na Chłopickim polegano wiele i brzmiał wokoło mazur Chłopickiego:

Nasz Chłopicki wojak dzielny, śmiały,
Powiedzie naszych zuchów w pole zwycięstw, chwały.
Huk armat, szczęk pałaszy,
Moskali wnet odstraszy!
Hej, bracia! w imię Boże!
Bóg nam dopomoże!

Dalej bracia! walczmy dzielnie, śmiało,
Chłopicki skończy walkę dla narodu z chwałą!
Tnie chwacko tęga kosa,
Nią wrogom utrzem nosa.
Hej, bracia! w imię Boże!
Bóg nam dopomoże!

Szybko wypędzili powstańcy Moskali z Warszawy, lecz zwycięstwa Dwernickiego pod Stoczkiem, Skrzyneckiego pod Dobrem, Chło-

pickiego pod Grochowem, Wawrem, Wielkiemi Dębami i Iganiami nie stworzyły jeszcze samodzielnego Państwa z powodu wielkiej przewagi wroga. Sławne jest zwycięstwo w Olszynce pod Grochowem:

O! gaju święty dla nas! Olszynko Grochowa!...
Pamięć o tobie Polak w późny wiek przechowa!...
Odrosną drzewa twoje, bo ziemia pod niemi
Syta krwi, ugnojona kośćmi moskiewskiemi!
A gdy na głos zbudzonej ze snu Europy,
Wyjdziem na bój ostatni, — gdy pielgrzymie stopy
Tam poniesiem, gdzie myśli nasze wiecznie lecą,
Gdy białe orły znowu nad Wisłą zaświecą,
W owym dniu odrodzenia, w tę chwały godzinę,
Szczepiąc drzewo wolności — zaszczepim Olszynę!

W wielkiej tej bitwie niespożytą sławą okrył się pułk czwarty linjowej piechoty, tak zwani Czwartacy, o których rozbrzmiewa pieśń:

Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę,
Przysięga klęcząc: naszym świadkiem Bóg!
Z bagnetem w ręku, pójdziem w świętą sprawę,
Śmierć hasłem naszym, niechaj zadrży wróg!
I dobosz zagrzmiał,
Już sojusz zawarty,
Z panewką próżną
Idzie w bój pułk czwarty!
Okropny postrach,
Padł na tłum rozżarty,
Spokojnie wrócił
Do Pragi pułk czwarty.

Bitwy pod Stoczkiem, Olszynką pod Wielkiemi Dębami, Iganiami i Ostrołęką — to purpurowe kwiaty, które naród polski złożył w ofierze w czasie krwawych walk o wolność... Lecz chociaż Polacy bili się dzielnie, powstanie upadło z powodu niedającego się pokonać na razie wroga.

„Próżne były wytężenia,
Bo godzina wybawienia
Dla Polski nie uderzyła,
Chociaż już tak bliską była!"

Dr. *JAKÓB SCHALL.*

Żydzi w powstaniu listopadowem.

Sto lat mija od chwili, w której garstka patrjotycznie myślącej młodzieży runęła na Belweder, by wygnać stamtąd znienawidzonego wielkiego księcia i powołać naród pod broń, do walki z najeźdźcą.

Na apel spiskowych, kto żył, chwytał za karabin i spieszył w szeregi powstańcze. Stanął pod bronią szlachcic, stanął rzemieślnik i chłop. Nie brak było osiwiałych starców, nie brak kobiet, nie brak nawet dzieci. Opuścił swój warsztat rzemieślnik, opuścił swą cichą pracownię uczony,

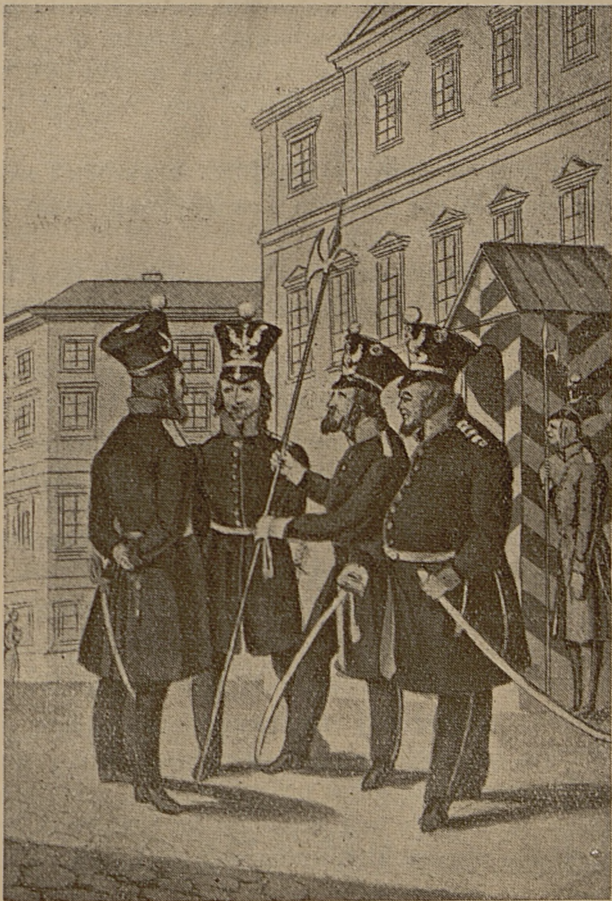


Józef Berkowicz.
(Według sztychu z noweli Stanislaus or the polisch lancer).

aby spracowanemi dłońmi wywalczyć lepsze jutro krajowi. Twierdzą stał się każdy próg i każdy rów przydrożny.

W tej ciężkiej i brzemiennej dla Polski chwili nie zapomnieli o niej Żydzi. Żyła wśród nich jeszcze pamięć o bohaterskim Berku Josielewi-

czu, który piękną swą śmiercią pod Kockiem przypieczętował swój bogaty w rycerskie czyny żywot. Żył jeszcze syn jego Józef, który wziął udział w wyprawie na Moskwę i dosłużywszy się stopnia adjutanta, zgłosił się w chwili wybuchu powstania w szeregi narodowe.



Żydowska gwardja miejska z 1831 r.
(Z albumu wojsk polskich powstania listopadowego Dietricha).

Syn bohatera postanowił podążyć śladami ojca. Niedarmo wykołysała go pieśń tak bolesna, a podówczas w Polsce popularna: „W tym wypadku huncwockiem, zginął Berek pod Kockiem", nie darmo przypomniał mu męczeńską śmierć ojca kopiec usypany ręką ludu pol-

skiego w tem miejscu, w którem ręka wroga zadała cios śmiertelny bohaterowi.

Nie zawiódł Józef Berkowicz nadziei w nim pokładanych. Szesnaście ran zdobiło jego bohaterską pierś, gdy zgłosił się do szeregów powstańczych, a zgłosił się nie sam jeden ale z całym oddziałem zbrojnych tego samego pochodzenia i wyznania, co on.

Oddział ten umundurowany staraniem Komitetu dla zbierania ofiar i umundurowania ochotników izraelickich, składał się z licznych uczniów „Szkoły Rabinów“ w Warszawie, którzy gotowi byli nawet wbrew przykazaniom Zakonu, przelać swą krew, gdy wolność kraju tego zażądała.

Na czele tego zastępu dosłużył się Józef Berkowicz stopnia majora, a przykład jego udzielił się licznym towarzyszom broni jak Józefowi Aronowiczowi, Lemlowi Hernischowi i i.

Jednocześnie dają Żydzi warszawscy najlepszy dowód swych prawdziwych uczuć dla Polski, wystosowując do Rządu Narodowego następującą prośbę:

„Upraszamy Wysokiego Rządu, aby dyktatorowi raczył przedstawić, że nietylko majątkiem, ale także osobami naszemi pragniemy służyć sprawie publicznej i że nieprzychylenie się do naszej prośby napełniłoby nas wielkim smutkiem, a kraj pozbawiłoby pomocy, jaką niezawodnie przynieść mu mogą nasze szczere chęci.“

Podanie to podpisali: Antoni Eisenbaum, Henryk Samelson, Dr. Bernstein, A. Wertheim i Rafał i Mikołaj Gutmanowie.

Dyktator Chłopicki nie chciał przyjąć ofiary Żydów.

„Żydzi nie posiadają równych praw z ludnością polską i nie mogą z tego powodu służyć w armji,“ brzmiała jego odpowiedź.

Dopiero dzięki skutecznej interwencji wielkiego dziejopisarza i przyjaciela Żydów, Lelewela, zostaje przyjęta ofiara żydowska. Około 350 Żydów, którzy pościnali sobie pejsy i brody, wstąpiło do gwardji narodowej i walczyło dzielnie pod komendą hr. Ostrowskiego. Niektórzy z nich jak n. p. Żyd warszawski Blumenfeld, dosłużyli się nawet stopnia oficerskiego.

Wiele zrozumienia dla powstania okazał warszawski „Dozór bożniczy.“ Za jego staraniem wypłacono Józefowi Berkowiczowi po 150 złp. na ekwipunek każdego żołnierza żydowskiego i ufundowano lazaret dla oficerów powstańczych. Nieograniczywszy się do tego złożył „Dozór bożniczy“ 1547 kożuchów na cele powstania i nakazał wstępować Żydom do wszystkich oddziałów Wojska Narodowego.

W czasie bohaterskich walk odznaczył się chwalebnie znowu Józef Berkowicz, który został szefem pierwszego pułku Mazurów. U boku jego walczy własny jego syn Leon, trzeci przedstawiciel tej rodziny.

Nawet na prowincji, gdzie zapał potrjotyczny był mniejszy, odnosili się Żydzi z sympatją do sprawy polskiej. W Lublinie zachęcał Żydów do powstania Żyd z pochodzenia, nazwiskiem Jan Czyński, a na Litwie obudziło powstanie listopadowe nadzieję zrzucenia jarzma moskiewskiego. To też donosi o Żydach litewskich Dziennik Powszechny, „że starozakonni litewscy nie mogą się już doczekać wkroczenia armji polskiej na ziemię Jagiellonów i że ozdabiają swe bożnice polskiemi orłami.“

Powstanie listopadowe odbiło się też silnem echem wśród Żydów krakowskich, chociaż tutaj wskutek argusowego oka trzech rezydentów nie wiele można było zdziałać.

Powstanie listopadowe upadło. Wielkie ofiary spełzły na niczem. O ofiarności jednak żydowskiej w krwi i złocie, dał najlepsze świadectwo niezapomniany Joachim Lelewel, historyk polski.

Po upadku powstania ogłosił z Paryża Joachim Lelewel odezwę w trzech językach: (polskim, francuskim i niemieckim) następującej treści:

„Synowie Izraela !

Znamy was dobrze, bośmy widzieli dary i poświęcenia się wielu w ciągu ostatnich dni wolności naszych. Znamy w ludzie izraelickim przyjaciół naszych, i ci nie przestaną za wspólną sprawą obstawać. Dzieci Izraela, przyjaciele nasi, jeśli jest kto z braci waszych nam niechętny i nieprzyjazny, pytajcie go: za co? przypominajcie słowa jednego z rabinów, że grzech między człowiekiem a Bogiem w dniu przebaczenia znajdzie przebaczenie, ale grzech między człowiekiem i bliźnim nie da się zmazać bez naprawienia krzywdy. Jeśli my zgrzeszymy niechęcią, przeciw wam, niechaj nam Bóg tego grzechu przeciw bliźniemu nie odpuści w dniu sądu.“

Odezwa kończy się słowami:

„Przyjdzie czas triumfu: Wtedy porachujemy się z sobą. Stanie syn polskiej ziemi, równie starozakonny jak chrześcijanin, każdy będzie mówił, czem się wspólnej Matce zasłużył, ile się do wskrzeszenia ojczyzny przyczynił. Zrównoważy się szalka zasług wspólnych usilności. Rychło godzina wyzwolenia uderzy, niema czasu do stracenia.“

Godzina ta uderzyła przed dwunastu laty, a dziś święci cała Polska stulecie orężnego czynu. Niechże nie zabraknie wspomnienia o tym ludzie żydowskim, w myśl żydowskiej pobudki wojennej owych czasów:

...„W Imię Boga,
Uformował bataljony,“
I krwią wspólnego „wroga
Zaczerwienił“ swe „zagony“.
(pospieszył na pole walki.)

Prośba z czasów powstania w r. 1830.

Najjaśniejszy Dyktatorze!

Podpisany widząc w teraźniejszych przypadkach pomyślną porę do okazania chęci naszych w sprawie narodowej, przedsięwziąłem zachęcać moich współwyznawców młodych do uorganizowania się w pułk i podciągnienia pod rozkazy Najjaśniejszego Dyktatora. Począłem od młodzieży najznakomitszych familij, aby ta mogła dać przykład niższej klasie narodu. Jesteśmy teraz w liczbie 20—30 ale nasz przykład wielu za sobą pociągnie; udaję się więc z prośbą do Najjaśniejszego Dyktatora, aby łaskawie raczył oznajmić, czy nie będzie naszą ofiarą pogardzał i czy w tym zamiarze dalej zbierać mogę podpisy. Zostaję z najgłębszem uszanowaniem, Najjaśniejszego Dyktatora najniższym sługą.

W Warszawie dnia 10 grudnia 1830.

Synai Hernisz,

mieszkający przy ul. Franciszkańskiej Nr. 1796.

(Z materjałów bł. p. Mathiasa Bersona. Rękopis).

Walerjan Łukasiński.

Rządy księcia Konstantego, brata carskiego, w Polsce były straszne. Polacy łączyli się dlatego w tajne związki, ażeby przeciwdziałać rządom okrutnym moskiewskim. Jednym z takich związków było Towarzystwo Patrjotyczne, na czele którego stał major Walerjan Łukasiński. Był to człowiek światły, odważny, szlachetny o gorącej duszy. Kochał kraj swój i naród nadewszystko.

Nietylko kierował zebraniami Towarzystwa Patrjotycznego, co wymagało wielkiej znajomości sprawy i umiejętności utrzymania związku przed okrutnym namiestnikiem carskim, lecz wydawał rozprawy, i pisał sam, o ulepszeniu stosunków w ówczesnej Polsce.

O Łukasińskim rzec można, że był dalszym ciągiem łańcucha wielkich mężów w Polsce po twórcach Konstytucji 3 Maja.

Nie pomijał w referatach swoich żadnej sprawy, której nie należałoby polepszyć w Polsce. Poruszył śmiało i odważnie także sprawę poprawy bytu i uobywatelenia Żydów w Polsce w rozprawie p. t. „Uwagi

pewnego oficera nad uznaną potrzebą urządzenia Żydów w naszym kraju.“

Łukasiński otworzył oczy narodowi polskiemu na błędy, które się zakorzeniły po utracie niepodległości. Dlatego naród czcił go wielce, a ze zdaniem jego liczyli się rządzący krajem generałowie i ministrowie polscy w imieniu cesarza rosyjskiego.

Losy jednak okazały się okrutnemi dla Łukasińskiego.

Aresztowany na rozkaz księcia Konstantego a potem skazany w r. 1822 przechodził piekło za życia.

Skazanego z początku na 9 lat ciężkich robót w Zamościu przywieziono razem z dwoma towarzyszami ubranymi wszystkich w mundury i ordery na czarnej platformie do obozu za rogatkami Powązkowskiemi w Warszawie.

Ustawiono wojsko w czworobok i uderzono w bębny. Na dany znak zbliżył się kat do skazańców, zerwał im szlify oficerskie i złamał szpady nad ich głowami. Pomocnicy kata zdarli z Łukasińskiego i z towarzyszy jego mundury, wdziali im kurtki więzienne, poczem kowale zakuli ich w kajdany. Następnie kazano nieszczęśliwym oficerom wziąć taczki i przejść z niemi przed frontem wojska wśród ogłuszającego bicia bębnów. Łukasiński szedł pierwszy śmiało z podniesioną głową, za nim dwaj jego towarzysze.

Tak haniebnie pastwił się namiestnik Konstanty nad pierwszymi mężami polskimi, którzy pamiętali, że nie są niewolnikami cara moskiewskiego.

Nietylko te męki przeszedł Łukasiński. Skazano go potem w więzieniu jeszcze na 300 kijów, bito go, aż do utraty przytomności.

Czasy, aż do samego wybuchu powstania, przesiedział Walerjan Łukasiński w ciężkiem więzieniu, a w dniu ucieczki księcia Konstantego z Polski, na rozkaz jego przykuto go do armaty i uprowadzono do Rosji. Osadzono go w twierdzy szlisselburskiej.

Tam zamknięty samotnie w podziemnej, odosobnionej celi, odcięty zupełnie od świata, przesiedział 38 lat. Umarł 26 lutego 1868 r. Niedopuszczano nigdy do niego rodziny i nie pozwolono jej zabrać ciała zmarłego.

Potęga carska prysła. Okrucieństwa jej wobec więźniów politycznych polskich napełniły świat cały nienawiścią i odrazą.

Bohaterzy polscy żyją jednak w duszach i wspomnieniach miljonów i są drodzy każdemu kulturalnemu człowiekowi.

Pamięć Walerjana Łukasińskiego przetrwa jeszcze wieki, a cześć pamięci jego spotęguje się w obchodzie 100-lecia powstania — jeszcze stokrotnie.

O własnych siłach.

Było to w końcu XVIII w. W Polsce panował wtedy król Stanisław Poniatowski, a we Francji wybuchła rewolucja. Była ona straszna i krwawa, wywołała długie, uporczywe wojny, i kraj potrzebował całego wysiłku, aby nie zginąć pośród licznych nieprzyjaciół.

Naturalnie, że w takich czasach potrzebne jest doskonałe, karne wojsko i dobrze przygotowani oficerowie. To też do szkół wojskowych garnęła się zdolniejsza młodzież, aby stanąć na czele swojego narodu w walce, o śmierć, lub życie.

Właśnie w Metz, mieście w Lotaryngji, egzaminowano zapisanych na liście kandydatów, gdy do sali wszedł chłopak bosy, w ubogiem i zakurzonem ubraniu z kijem sękatym w ręku.

Spokojnie usiadł w ławce obok innych uczniów, lecz wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na niego, przypuszczając, że znalazł się tu przez omyłkę. Wreszcie jeden z profesorów spytał go, po co przyszedł.

— Chciałbym złożyć egzamin. Jestem na liście kandydatów — odpowiedział przybyły.

— Jak się nazywasz?

— Antoni Drouot. (Czytaj Druo!)

Profesor sprawdził listę i znalazł nazwisko, ale jeszcze pełen był niedowierzania.

— Czy wiesz, co trzeba umieć? — Kto cię uczył? —pytał. — Egzamin jest rudny.

— Wiem. Sam się uczyłem — odpowiedział Antoni. — Zdaje mi się, że umiem wszystko, co potrzeba.

Nazwisko jego wywołano wkrótce i w sali zapanowało niezwykłe milczenie, gdyż wszyscy z nadzwyczajną ciekawością słuchali jego odpowiedzi. Okazało się bowiem, że chłopiec nietylko doskonale umie to wszystko, co było do egzaminu potrzebne, ale jeszcze o wiele więcej. Wzruszony i zachwycony profesor uściskał go serdecznie, a sala obsypała oklaskami.

On się uśmiechał, zadowolony bardzo, że został przyjęty do szkoły, ale zarazem dziwiąc się pochwałom. Przecież on tylko pracował wytrwale. Jakże inaczej można dojść do czego?

Ojciec jego w mieście Nancy miał skromną piekarnię i dziesięcioro dzieci. Sam zaledwie umiał czytać i pisać, tego nauczył najstarszego syna, lecz na szkołę nie było czasu i pieniędzy. Antoś pomagał ojcu, musiał rozrabiać ciasto, wypiekać chleb i bułki, usłużyć matce, zająć się młodszem rodzeństwem.

Ponieważ jednak książki bardzo go zaciekawiały, więc przy całej tej pracy, którą spełniał chętnie i żwawo, znalazł zawsze jeszcze chwilkę na czytanie. Książek własnych nie miał, ale je pożyczał. Były w mieście czytelnie, miał znajomych chłopców, którym to umiał odsłużyć.



Jesień, jeszcze liście ostatnie na drzewach.

Miał ogromne zdolności do rachunków i robił w nich wielkie postępy przy pomocy książek i młodzieży szkolnej, która chętnie udzielała mu wskazówek. Nakoniec, widząc położenie kraju, postanowił wstąpić do szkoły wojskowej i zaczął się uczyć tych wszystkich przedmiotów, które były do egzaminu potrzebne.

A przy tej pracy był jak dawniej pomocnym ojcu i nie usuwał się nigdy od zajęć w piekarni. Wreszcie wyznał rodzicom, jaki powziął zamiar. Ojciec pomyślał nad tem.

— Nic nie stracisz — rzekł w końcu. Jeśli ci się nie uda, powrócisz do piekarni.

Udało się wybornie — chłopiec skończył szkołę, odznaczył się na polu bitwy, był wodzem ukochanym przez żołnierzy, cenionym i szanowanym przez kraj cały.

Ale nie stał się pyszny. O bogactwa nie dbał i wszystkiem, co miał, dzielił się zawsze z biednymi. Pozostał skromny, cichy, zawsze z pogodną twarzą i łagodnem sercem, chociaż ręka umiała zadawać krwawe ciosy.

Na starość wrócił znowu do rodzinnego miasta i żył prawie w ubóstwie, rozdając całą pensję generalską między potrzebujących.

— Cóż mi po pieniądzach? — mówił. — Nie jestem głodny, mam swój pokój, książki, przyjaciół, którym chodzi o mnie, a nie o moją kieszeń. W ubóstwie się wychowałem i znam jego wartość: hartuje i uczy pracy.

Znali go wszyscy w mieście i kto potrzebował pomocy, szedł prosto do staruszka generała. Razu jednego, by jakąś rodzinę wydźwignąć z nędzy, dał jej złote galony od swego munduru. Oburzyli się na to bratankowie: to dla nich pamiątka, należy ją szanować.

— Eh! — odpowiedział Drouot — oni potrzebują chleba, to chyba jest ważniejsze od pamiątki.

Majer Cettel.

Majer Cettel nie jest ani bogatym bankierem, ani sławnym uczonym żydowskim, a przecież znanym jest w całem Państwie. W miesiącu sierpniu tego roku rozniosły gazety polskie wiadomość po świecie, że w Kielcach udekorowano uroczyście krzyżem zasługi 70-letniego handlarza drobiu Majera Cettla.

Za co takie odznaczenie? Za co taki rozgłos?

Majer Cettel uratował od niechybnej śmierci, a potem ukrywał i żywił wśród otaczającej go załogi rosyjskiej trzech legjonistów polskich.

Było to w roku 1914, kiedy to pierwsza patrol Legjonów wkroczyła do Kielc, ażeby walczyć z Moskalami. Kozacy rzucili się w wielkiej

liczbie na małą patrol legjonową. Z pośród atakowanych przez kozaków udało się trzem legjonistom zmylić pogoń i skryć się u Majera Cettla, pilnującego wówczas sadu w Kielcach.

Minęło 16 lat od tej chwili.

Po zwycięskich walkach legjonowych pod dowództwem ukochanego Wodza Józefa Piłsudskiego i po rozbiciu potęgi Rosji, Prus i Austrji w czasie wielkiej wojny światowej powstało na nowo zjednoczone Państwo Polskie. Z pośród owych trzech Legjonistów, którzy ukrywali się u Majera Cettla pozostali szczęśliwie przy życiu po dalszych walkach i trudach wojennych tylko dwaj. Dzisiaj zajmują już wysokie stanowiska w wojsku. Jednym z Legjonistów jest pułkownik Drowski, a drugim generał adjutant Poniatowski.

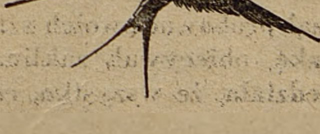
Obaj ci dygnitarze wojskowi przybyli do Kielc w sierpniu tego roku, aby przywitać swego zbawcę i zajechali prosto do domu starego Żyda. Wzruszającą była chwila przywitania. Obaj wysocy oficerowie wzięli Cettla w ramiona, całując go serdecznie. Rodzina Cettlów przyjęła gości skromnem śniadaniem, a goście obdarzyli rodzinę przywiezionemi podarunkami.

Uroczystość udekorowania odbyła się w sali rady miejskiej w Kielcach. Majer Cettel przybył w odświętnych szatach w otoczeniu rodziny i obu wyższych oficerów. Liczni zebrani w sali goście, przedstawiciele władz, duchowieństwa, przedstawiciele instytucyj polskich i żydowskich zgotowało Cettlowi owację.

O godzinie 12.15 przybył zastępca wojewody w towarzystwie starosty kieleckiego i wyższych urzędników, prezydent miasta i inni dygnitarze. Rozpoczęła się uroczystość. Pan wicewojewoda przemówił pięknie, opisał czyn staruszka Cettla, który stawia go w rzędzie najbardziej zasłużonych obywateli Państwa. Po przemówieniu przypiął mu pan wicewojewoda krzyż zasługi wśród burzliwych oklasków zebranych. Potem przemówił prezes wojewódzkiego Związku Legjonistów, zawiadamiając Majera Cettla, że wpisano go w poczet honorowych członków Związku.

Poza odznaczeniem otrzymał Cettel koncesję na hurtownię tytoniu w Lublinie, ażeby miał na starość byt zapewniony z rodziną.

Oto, czem zdobył Majer Cettel imię w Polsce i tak znamienitych przyjaciół.





„Jutrzenka dla najmłodszych”

Uczciwy znalazca.

Karolek znalazł scyzoryk. Oglądał go na wszystkie strony, podobał mu się. Scyzoryk miał dwa ostrza i błyszczącą okładkę.

— Będę już miał scyzoryk tak jak tatuś!...

— Powiem mamusi, żeby się nie bała, będę ostrożnie krajał!.....

Obok Karolka przechodził właśnie jakiś pan. Patrzał na ziemię i szukał czegoś.

Karolek pomyślał: „pan ten szuka pewnie scyzoryka“. Więc zapytał się głośno:

— Czego pan szuka?

— Zgubiłem scyzoryk z dwoma ostrzami — odpowiedział pan.

— A ja właśnie przed chwilą znalazłem taki scyzoryk. Proszę oto jest! — powiedział dalej Karolek.

Pan popatrzył się grzecznie na Karolka, podał mu rękę i odezwał się:

— Dziękuję, jesteś uczciwym znalazcą.

Lis i kaczka.

Kaczka, jak kaczka pływała sobie po wodzie na szerokim stawie. Lis wychodził właśnie ostrożnie z lasu i spostrzegł z daleka kaczkę.

— Ach, jakbym ją zjadł! — pomyślał lis.

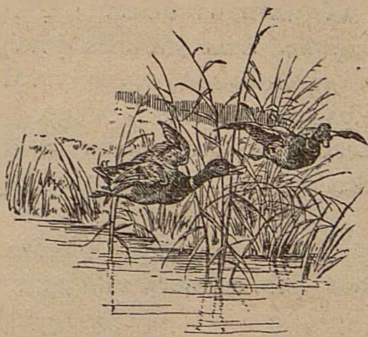
— Żeby ją tylko mieć przy brzegu! — odezwał się już głośniej.

I chytry lisek zaczął próbować swoich sztuczek.

Przywoływał kaczkę, obiecywał, zaklinał się, ale kaczka była mądra. Znała lisa. Wiedziała, że wszystko, co powie, to tylko na to,

ażeby ją porwać. Więc pływała sobie dalej po środku stawu i śmiała się z lisa.

A lis widząc po długim czasie, że nie da sobie rady z mądrą kaczką, odszedł zawstydzony.



Prawdziwy Królewicz.

W pięknym zamku mieszkała młoda królewna. Była jedynaczką. Król i królowa, rodzice jej, chcieli dać jedynaczce dobrego męża. Ale młoda królewna długo wybierała. Z tych, którzy przyszli przedstawić się staremu królowi i prosić o rękę jego córki, żaden się nie spodobał.

Musiano więc czekać ze ślubem.

Pewnego razu wybrał się król z dworem na polowanie. Król z rycerzami i damami na koniach, służba z psami, kucharze z jedzeniem, wszyscy pojechali do gęstego lasu.

Już mieli ubitą zwierzynę i chcieli wracać do domu, gdy dano znać królowi, że strzelcy królewscy znaleźli obok źródła w lesie młodego człowieka. Człowiek ten spał spokojnie, pomimo, że w gęstym lesie kręciły się dzikie zwierzęta.

Obudzono go i zapytano, co on za jeden.

— Jestem królewiczem, zróbcie mi dobre jedzenie i o nic więcej nie pytajcie — odpowiedział wędrowiec.

Przyprowadzono go więc do starego króla i opowiedziano wszystko.

Król kazał mu dać jeść i zabrał go do zamku.

Po drodze wypytywał się wędrowca o wszystko, a gdy odpowiedzi młodego człowieka podobały się królowi, pomyślał:

— Trzeba wypróbować, czy jest prawdziwym królewiczem, a gdy się ukaże prawdziwym, przedstawię go swojej córce.

Długo myślał król nad tem, jaką próbę mu zadać, wreszcie kazał przywołać wędrowca i tak do niego przemówił:

— Muszę cię wypróbować, czy jesteś prawdziwym królewiczem.

Dam ci jeden dzień do rządzenia w moim państwie. Jeżeli wszystko dobrze załatwisz w dniu swoich rządów, będę wiedział, że mówisz prawdę. Od jutra rana rozpoczynasz.

Królewicz ucieszył się, bo chciał się okazać mądrym i zdolnym i czekał niecierpliwie na następny dzień.

Nazajutrz zabrał się wcześnie rano do pracy.

Nie zważał na skargi dworzan, wypytywał się o każdego cierpliwie, był dobrym i uprzejmym dla każdego.

Stary król nie wtrącał się do rządów w tym dniu. Widział, że królewicz robi wszystko dobrze, więc zaprosił go wieczorem do sali tronowej.

Tam przedstawił go królewnie, a gdy i królewna była zadowolona z odpowiedzi królewicza, powiedziała swojemu ojcu, że wyjdzie teraz zamąż.

Król zrobił potem piękne wesele.

ZAGADKI NOWE:

Domyślniki.

(Nadesłała Janka Baumówna).

Wypełnić samogłoskami miejsca oznaczone kreską tak. aby powstały znane przysłowia.

a) J—k— pr—c— t—k— pl—c—.

b) B—z pr—c— n—— b--dz—— k—ł—cz—.

c) Kt— r—n— wst—j— t—m— P—n B—g d—j—.

d) Kt— n— c——b—— k—m——n——m t—— n— n——g—chl—b—m.

e) Gd—b— k—zk— z k—zk— n—— sk—k—l— t—b— n—żk--i n—— zł—m—ł—.

Zagadka.

(Nadesłała Dunia Horowitzówna).

Jestem sobie pani z brodą,
Siwy włos mam, choćżem młodą,
Szkodę robię na zagonie,
Lecz mnie nie bij, bo się bronię.

Czytelniczki i Czytelnicy „Jutrzenki", którzy nadesłali fotografje swoje:



Felusia Ojzerkis



Jacques Germains
notre bien cher ami de Paris.



Halusia Grafówna

Głosówka.

(Nadesłał A. Günsberg).

Całość — słówko dwuzgłoskowe,
Krągłe, gładkie, równej miary,
Znają strzelby je wojskowe,
Zna je każdy wojak stary.
A bez głowy — to w domeczki
Znów się małe przekształcają,
W których drobne muszki latem
Swoją pracę układają.

Rozwiązania zagadek.

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali: Lila Gruenberg, Gizela i Szymon Rittel, Stella Grünbaumówna, Rózia Heschelesówna, Rachela Münzer, Jakób Rotenberg, Mieserówna Mela, Klara Gruber, Sydonja i Rózia Lenzówne, Blanka Schwarz-Mellerówna, Zosia Süsser, Oskar Gruder, Hania i Izio Krim, Klara Beer, Gizia i Izio Affner, Edzia Eisenstein, Irena Rosenfeldówna, Juljusz Guteberg, Mundzio Ringler, Mendel Bloch, Horowitz Mojżesz, Zimmerman Bronisław, Kupfer Leon, Zahler Markus, Scherzer Chaim, Unterman Henryk, Stromer Jakób, Teitel Leon, Arnold Józef, Langer Samuel, Landesman Markus, Zuckerman Józef, Stramer Joachim, Klaften Zygmunt, Seide Jakób, Spatzner Abraham, Wachs Gustaw, Wagner Izak, Rosenblüth Chaim, Silberman Juda, Katz Izak, Tepper Wilhelm, Goldstein Mojżesz, Horwitz Samuel, Münzer Karol, Stofter Lipa, Weber Joachim, Wlodinger Lazar, Münzer Markus, Rosenberg Rudolf, Zuch Ignacy, Waldman Abraham, Streicher Izrael, Egiert Roman, Schläger Szymon, Samselig Abraham, Kirschner Naftali, Lipsman Karol, Hochner Izak, Lusia Kapfner, Berta Grüss, Salomea Sternberg, Mina Wurzel, Klara Zwickówna, Arnold Deiches, Pepa Strumsówna, Lina Gottliebówna, Ch. Jafet, Zelna Knopfówna.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Listy, zagadki, utwory nadesłali: Lila Gruenberg, Gizela i Szymon Rittel, Marja Tendler, Jenia Fabianówna, Dziunek Liss, Zygmunt Engelberg, Basia Zieglerówna (wierszyk) „Cyganeczka, wiersz i dwie poważne rozprawy.

10. KUPON DO ZAGADEK KONKURSOWYCH „NASZEJ JUTRZENKI“ 1930.

Imię i nazwisko: ....

Miejsce zamieszkania: ....

Ulica i numer domu: ....

Nowe książki szkolne.

W naszej gazetce musimy napisać bodaj krótko o nowych książkach. Są piękne i tak starannie wydane, że zachęcają każdego do zawarcia przyjaźni z niemi.

Tak, dobra książka to najlepszy przyjaciel. Pokaże ci co piękne, co dobre, poradzi serdecznie i zabawi i niedopuści do ciebie nudów.

Dzisiejsze książki, używane w szkołach są naprawdę przepiękne. Należy się wiele pochwały i wdzięczności za pracę autorom, to jest tym którzy książki napisali i zakładom. które dały je drukować i oprawić.

Wyliczymy na razie książki z Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Elementarz Powszechny, ułożyli Mikulski—Wójcik—Kozera.
W naszej szkole, Dr. A. J. Mikulski dla II-go oddziału.
W naszej szkole, Dr. A. J. Mikulski dla III-go oddziału.
W naszej szkole, Dr. A. J. Mikulski dla IV-go oddziału.
Polska książka dla V-go oddziału, Dr. Antoni J. Mikulski.
Polska książka dla VI-go oddziału, Dr. Antoni J. Mikulski.
Polska książka dla VII-go oddziału. Dr. Antoni J. Mikulski.

A dla szkół średnich, jakie cudne książki!

Kraj lat dziecinych, Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski.
Będziem Polakami. Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski.
Miej serce, Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski.

a potem kto lubi,

Bajki nie - bajki. Marty Kubiszynówny.

O innych książkach napiszemy drugim razem.

Rozwiązanie zagadek z numeru 9-tego:

Łamigłówka: fala, amen, Leon. Anna.

Figielek rachunkowy: VIII

AIII

Od Administracji.

Administracja uprasza prenumeratorów, którzy nie otrzymują czasopisma o natychmiastowe zawiadomienie. NAJLEPIEJ NAPISAĆ KARTKĘ KORESPONDENCYJNĄ Z DOKŁADNYM SWOIM ADRESEM DO ADMINISTRACJI „JUTRZENKI", LWÓW, UL. JANOWSKA 26 i upomnąć się o niedoręczony przez pocztę numer. Kartka może być nieopłacona (bez marek pocztowych), tylko nad adresem do Administracji napisać: „REKLAMACJA W SPRAWIE NIEDORĘCZENIA PISMA".

Ze Lwowa jest także lepiej napisać, aniżeli telefonować, bo przez telefon wychodzą często przekręcone adresy i przesyłka nasza wraca.

„NASZA JUTRZENKA" jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.
Numer pojedynczy 50 groszy. — Konto czekowe P. K. O. 149.547
Numer podwójny 1 zł. Telefon 32-31
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Janowska 26.
Do nabycia w biurach dzienników, księgarniach, trafikach i kioskach.

Prenumerata „Naszej Jutrzenki" wynosi:
półrocznie z przesyłką 2 zł. 70 gr. — — — — — — — — rocznie 5 zł.

TREŚĆ: O figlach Frycka Szopena. — Drapieżny Wilk — błogosławieństwem. — Nad Sanem. — Pomnik Marji Konopnickiej. — Kamień rzucony przez przyjaciela. — Nero. — Rozwój samolotów. — Bolcio pechowiec łowi ryby. — Powstanie listopadowe na tle pieśni i poezji. — Żydzi w powstaniu listopadowem. — Prośba z czasów powstania w r. 1830. — Walerjan Łukasiński. — O własnych siłach. — Majer Cettel. — Jutrzenka dla najmłodszych: Uczciwy znalazca. — Lis i kaczka. — Prawdziwy królewicz. — Zagadki nowe. — Rozwiązanie zagadek.

Cena ogłoszeń jednorazowo:
cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr, 1/8 strony 6 zł. 25 gr.
Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%. — za 6-krotne 20%, — za 12-krotne 30%

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dawid Berlas.
Z drukarni A. Gojawiczyńskiego we Lwowie, ul. Kopernika 20. — Telefon 28-18.